REPORTAŻ

DOROTA SOKOŁOWSKA

***Narew lubi samotników* (fragment)**

Nieco dalej rzeka wygląda jak niekończące się znaki zapytania. Wije się, zakręca, a najlepiej widać to z pobliskiego wzgórza, z którego, jak wieść niesie, zapomniany święty Brunon ruszał z misją i z Panem Bogiem.

Widok powala na kolana, i w takiej pozycji czeka też Katarzyna, rozwódka, dwoje dzieci, radiowy głos, tysiącletni smutek krajobrazu wypisany na twarzy. Grzegorz wita się wylewnie, przedstawia i opowiada o niej. Wiele razy pisała o tym wzgórzu i o odnalezionych rzekomo śladach świętego Brunona na tym niewielkim wzniesieniu, z którego spoglądamy na Narew. Tak się poznali. Potem polubili.

Tembr jej głosu brzmi miło, a słowa wchłania półdzika trawa, którą chwilami wkłada do ust, gryzie długo i starannie. W opowieść o odnalezieniu być może pierwszego murowanego kościoła na Mazowszu, do kamieni którego dokopano się pod nami, wplata też swoją opowieść o życiu.

Pochodziła stąd. Wyjechała do Białegostoku na studia (było łatwiej) i tam już została na dłużej. Wróciła niedawno, razem ze swoimi dziećmi i złamanym sercem, po szesnastu latach inna kobieta zabrała jej wszystko.

Właściwie z tej opowieści najbardziej daje się wyczytać smutek samotności. Nikt nie był jej w stanie pomóc, dawna solidarność społeczna, która na gnoju wywoziła cudzołożnicę i wiarołomcę, zasiadła przed telewizorem, by śledzić losy papierowych, telewizyjnych bohaterów *M jak miłość*.

Była podwójnie porzucona, przez męża i ludzi, gdy szukała sposobu na odwrócenie losu.

– Zostaw go – mówili. – To już za długo trwa. Zajmij się dziećmi, nie jesteś jedyna. To nie nasza sprawa, nie będziemy się mieszać.

Po dwóch latach zgodziła się na rozwód.

Mogłem sobie wyobrazić, jak stoi w pustej sali sądowej, naprzeciwko tego, który dał jej dzieci i wspólny, choć krótki los.

– Czułam jak pęka mi serce, kiedy myślałam o swojej córce, wydzierającej z zeszytu wypracowanie zaczynające się od słów *Tata jest moim największym autorytetem*. I o swoim synu, który ciągle zakładał mi na rękę ostatni prezent od męża, bransoletkę, która miała odczarować zły los. Kiedy odszedł, instynktownie, wiedziona podszeptem Nieprzyjaciela, jak nazywają go Ojcowie Pustyni, rzuciłam się w sam środek czarów: horoskopów, kart Tarota, wróżek, przepowiedni.

Mówiła powoli, patrzyliśmy przed siebie, nad nami był szarzejący błękit nieba, pod nami zakole rzeki, która zwijała się jak wstążka małej dziewczynki i też słuchała. Takie przynajmniej sprawiała wrażenie.

– Czułam jak tonę, ja, wychowana w cieple witraży łomżyńskiej katedry, jasności mojej szczęśliwej, pełnej rodziny. Nieprzyjaciel najpierw zjadł mojego męża, teraz pożerał mnie.

Świat jej nie pomagał. Co chwila przynosił wieści o rozstających się parach, sankcjonując nową, nieznaną jej wcześniej metodę na rozwiązywanie problemów. Rozwód w słowniku jej rodziców, wychowanych przy rzece dziadków, bliższej i dalszej rodziny z doliny Narwi – nie istniał.

– Dla mnie i dla nich życie jest ciągłością, miłość jest ciągłością, i szczęście też. Nic nie można przerwać, wszystko ma swoje jaśniejsze i ciemniejsze strony, ale zawsze walczy się do końca. Kochałam i kocham swojego oddalonego w czasie i przestrzeni męża, jest moim wyborem, moją przeszłością i przyszłością naszych dzieci, odbitym śladem w małżeńskim łóżku, którego, mimo że to już czwarty rok, nie chcę zmieniać.

Ulica poniżej powoli przyjmowała wracających do domów z pracy mieszkańców nieodległego Zosina i Starej Łomży. Niebo zaciągnęło się ciemną plamą, zbierało się na deszcz. Gdzie indziej, w wyjałowionym z dawnych zasad wielkim mieście – anonimowym, eklektycznym, sterylnym – jej słowa zabrzmiałyby staromodnie, niedzisiejszo.

Głupio, sentymentalnie i żałośnie.

Tu były tylko skargą na wielki, modny świat, który skusił jej męża, porwał go i odmienił.

– W wielkim świecie, w którym żyłam, nikt nie wierzył w diabła, tylko ja czułam, jak codziennie przy mnie stoi. Uszkodził wszystkie moje anioły w domu: drewniane, malowane, rzeźbione. Naprawdę czułam, jak cieszy się z tego, że nic mnie nie jest w stanie uchronić.

Przycichła na moment. Można było pomyśleć, czy ta porzucona, nieszczęśliwa opowiadająca o rogatym diable dziewczyna nie jest wariatką, która chce wytłumaczyć osobistą porażkę jakąś historyjką sprzed dwóch stuleci.

– Usłyszałam go i zobaczyłam w ostatniej chwili. Inaczej nie udałoby mi się przeżyć. Pomogło mi w tym to moje obmodlone wzgórze, łomżyńscy egzorcyści i wspólnota. Wiara, jaką wyniosłam z tutejszych, zawsze pełnych kościołów. Modlitwa mnichów, zakonnic, mojego brata i mamy, księdza Ambroziaka w kościele i ojca Grzegorza w cerkwi. Do walki z nim stanęła cała armia. Było ciężko, tyle mogę wam powiedzieć. Reszty szukajcie w świadectwach innych uzdrowionych. Nieprzyjaciel istnieje. I jest zawsze obok waszych słabości.

Diabeł. Tu, nad Narwią, to rzeczywisty bohater świata. Pojmowany różnorodnie, ale zawsze zły i niebezpieczny.